

**JANUSZ  
KORCZAK**

JÓZKI, JAŚKI I  
FRANKI

Janusz Korczak

**Józki, Jaśki i Franki**

«Public Domain»

## **Korczak J.**

Józki, Jaśki i Franki / J. Korczak — «Public Domain»,

Józki, Jaśki i Franki to (chrześcijańscy) chłopcy z Warszawy, którzy dzięki staraniom Towarzystwa Kolonii Letnich przyjechali na wypoczynek do Wilhelmówki. Korczak opisuje ich przygody z isticie kronikarskim zacięciem. Nie ma tu jednego bohatera, za to niemal każdy ma swoje pięć minut — zapisuje się na kartach kolonijnej historii wybitnym dokonaniem, szczególną cechą lub... typowością. Jeden chłopiec ma ciekawe przezwisko, drugi wciąż się spóźnia, inny wyjątkowo dba o poprawność językową, jeszcze inny znowu opracował nową metodę budowania szałasów. Nieopodal Wilhelmówki — w Zofiówce — odpoczywają dziewczynki: siostry, kuzynki i koleżanki. Obie grupy często się spotykają, bawią razem, może trochę ze sobą rywalizują. W opowieści Korczaka, który w 1904 i 1907 roku był wychowawcą na koloniach organizowanych przez TKL i pisząc Józki, Jaśki i Franki, wyraźnie odwoływał się do swoich doświadczeń, widać, że kolonistom pozwolono stworzyć społeczność w dużej mierze samorządną, wspierano ich samodzielność i podsycano ducha demokracji. Wyjątkowo nowoczesne podejście!

© Korczak J.

© Public Domain

## Содержание

Bardzo krótki wstęp	5
Rozdział pierwszy	6
Rozdział drugi	9
Rozdział trzeci	12
Rozdział czwarty	16
Rozdział piąty	19
Rozdział szósty	22
Rozdział siódmy	25
Rozdział ósmy	28
Конец ознакомительного фрагмента.	29

# Janusz Korczak

## Józki, Jaśki i Franki

### Bardzo krótki wstęp

Niedawno ukończyłem opowieść o Moškach, Joskach i Srulach<sup>1</sup>.

Wszystko, co robili chłopcy żydowscy w Michałówce<sup>2</sup>, było tam dokładnie opowiedziane. Książka się podobała.

I jakże mogły się nie podobać ciekawe przygody aż stu pięćdziesięciu chłopców na wsi?

Opowieść o Józkach, Jaśkach i Frankach zapewne będzie jeszcze ciekawsza.

Po pierwsze: las w Wilhelmówce<sup>3</sup> jest wielki, więc chłopcy zbierają jagody i grzyby, a z gałęzi budują szałas. Z szałasów tych dwie powstały osady: Miłosna i Łysa Góra.

Po drugie: obok Wilhelmówki jest kolonia dla dziewcząt, Zofiówka<sup>4</sup>; a stąd wiele ciekawych zdarzeń, jak na przykład napad na domek Paulinki. Bo i w Wilhelmówce jest stu pięćdziesięciu chłopców, a między nimi, jak się łatwo domyślić, nie brak porządnych łobuzów.

---

<sup>1</sup> *Niedawno ukończyłem opowieść o Moškach, Joskach i Srulach* – *Moški, Joski i Srule* to tytuł powieści Korczaka o przygodach żydowskich chłopców na koloniach w Michałówce. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *Michałówka* – nazwa jednego z ośrodków, w których na przełomie XIX i XX w. Towarzystwo Kolonii Letnich organizowało wypoczynek dla najuboższych dzieci z Warszawy. W Michałówce spędzali wakacje chłopcy z rodzin żydowskich. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *Wilhelmówka* – w Wilhelmówce spędzali wakacje chłopcy z rodzin chrześcijańskich. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *Zofiówka* – w Zofiówce spędzały wakacje dziewczynki z rodzin chrześcijańskich. [przypis edytorski]

## Rozdział pierwszy

Podróż. Nudne opowiadanie, którego nie warto słuchać. Ot, jutro będzie wesoło.

Pierwszy rozdział *Mošków* poświęcony był opisowi, jak zbieraliśmy się na dworcu, ustawili w pary, jak rodzice żegnali się z dziećmi, jak wreszcie ruszyliśmy w drogę.

Tam dozorca wywołuje z kajetu<sup>5</sup>:

– Frydman, Miller, Grinbaum, Bromberg.

A tu:

– Kowalski, Górski, Frankowski, Trelewicz.

Poza tym wszystko tak samo.

W wilię<sup>6</sup> podróży zbierają się chłopcy w biurze na Świętokrzyskiej: bada ich lekarz, szewc przymierza kolonijne obuwie, fryzjer strzyże, gdy kto<sup>7</sup> ma zbyt długie włosy. W dzień wyjazdu tak samo dozorca<sup>8</sup> ustawiają ich w pary i po dzwonku prowadzą do wagonów.

Dozorca i tu zapytuje:

– Czy kto<sup>9</sup> z was worka nie zgubił? Nie wychylajcie się z okien.

A chłopcy tak samo pchają się w wagonie do okien, wołając:

– Odsuń się, to moje okno.

– Nie pchaj się, bo ci po łbie nakładę.

Inaczej w powrotnej drodze, kiedy wszyscy już dobrze się znają. Wtedy każde okno zajmuje grupa przyjaciół i wzajemnie sobie ustępować będą:

– Ty teraz trochę popatrz, potem znów ja popatrzę.

I tu również chłopcy oddają pocztówki, żeby co tydzień pisać do rodziców, że dobrze się bawią; i tu podróży towarzyszą liczne i nadzwyczajne przygody. Jednemu węgiel wpadł w oko; kazali mu płuć, żeby węgiel wyleciał; gdy jednak to nie pomogło, dozorca rogiem chustki wyłowił węgiel z oka i chwalił się potem:

– A widzisz, a nie mówiłem, żeby się nie wychylać; wiedziałem, że tak będzie.

Tomaszewski powiewał workiem dla uczczenia pastuszków, którzy kłaniają się albo język pokazują pociągowi; sąsiad pchnął go i worek wyleciał. Inny znów chustką do nosa żegnał mieszkańców Wołomina<sup>10</sup> i chustka mu wyfrunęła.

– O wrony, wrony...

– Ooo, bocian...

I ani się domyślają, że obok na ławce siedzi Zygmunt Boćkiewicz, którego już jutro nazwą Boćkiem – bocianem.

– O, ule, ule!

I zaraz ktoś opowiada, jak poszedł do ula, kiedy był na wsi u stryja, i jak go pszczoły pogryzły; mały był jeszcze wtedy i głupi.

W Tłuszczu<sup>11</sup>, gdzie pociąg się cofa przechodząc na inną linię, kolonijni bywalcy straszą nowicjuszów:

– Do Warszawy jedziemy!

---

<sup>5</sup> kajet (daw.) – zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> wilia (daw.) – wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie (tu: wyjazd na kolonie). [przypis edytorski]

<sup>7</sup> kto – tu dziś popr.: ktoś. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> dozorca – tu: wychowawca. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> kto – tu dziś popr.: ktoś. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> Wołomin – miejscowość w województwie mazowieckim na północny wschód od Warszawy. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> Tłuszcz – miejscowość w województwie mazowieckim. [przypis edytorski]

– O, nazad wracamy!

A im bliżej Goworowa<sup>12</sup>, tym częściej rozlega się niecierpliwe pytanie:

– Czy jeszcze daleko?

Bo ciekawi są zobaczyć kolonię i każdy inaczej ją sobie wyobraża. Jeden myśli, że mieszkać będą na wsi w chałupach, drugi, że kolonia podobna do domu w Warszawie i z długiego korytarza prowadzą drzwi do małych pokoików, gdzie sypiać będą po kilku razem. A już nikt nie wie, co to jest weranda, o której tyle słyszeli.

Leon Kopeć, którego Achcyk później nazwał Kopiejką, poczuł głód srogi, Lewiński dał mu pięć obwarzanków; a Boćkiewicz zajada chleb z masłem i mówi trochę do siebie, a trochę na próbę i do dozorczy:

– Ja nigdy jeszcze nie jechałem koleją.

– A przyjemnie jechać koleją?

– Przyjemnie – mówi Boćkiewicz i zajada chleb z masłem.

Mały Sulejewski – nie przeczuwając zgoła, że niezadługo będzie męznym kapitanem okrętu – popłakuje z cicha i nos rękawem wyciera: siostra przyrzekła, że na kolonię<sup>13</sup> go odprowadzi, tymczasem poszła, samego zostawiła. Och, losie, losie!

– O, patrzcie, jaki owies.

– To żyto, ośle, nie owies.

– A ty co?

Pociąg z hukiem wielkim przez most przejeżdża – i zaraz ktoś zapytuje:

– Jak się ta Wisła nazywa?

Słupy wiorstowe<sup>14</sup> liczą, spierają się, czy mila<sup>15</sup> ma siedem, czy czternaście wiorst – i co by się stało, gdyby tak chłopak wyleciał.

– Stacja Goworów<sup>16</sup>!

Malcy siadają na fury; starsi pójdą pieszo, bo do Wilhelmówki niezbyt daleko.

Słońce zachodzi, chłodny wietrzyk wieje.

Dalej w drogę.

Kto ma w Zofiówce siostrę albo kuzynkę, ten zapytuje, czy przechodzić będziemy koło Zofiówki i czy dziś jeszcze pójdziemy do dziewcząt.

– Czy dziś dostaniemy kolonijne ubrania?

– Czy jutro listy będziemy pisali?

– Kiedy pierwszy raz wydadzą łopaty do kopania?

Bo o łopatach opowiadali chłopcy z poprzedniego sezonu<sup>17</sup>.

Pytają się panów, ale jeszcze nieśmiało, ale tylko na próbę, żeby zobaczyć, czy się nie obrażą.

– Proszę pana, czy na kolonii są zmory?

– Zmory? Cóż to ma być takiego?

– Ano złe duchy... Bo mówią, że kolonia jest w lesie, a w lesie są zawsze duchy.

– Nie, na kolonii nie ma złych duchów; są tylko dobre duchy, wszystkie najłaskawsze i najdobrotliwsze. A w lesie są grzyby, poziomki, jagody – nie zmory.

Z boku, trochę na lewo od szosy, czerwieni się gmach murowany.

– Już?

– Nie, to dopiero Zofiówka; tam są dziewczynki.

---

<sup>12</sup> Goworowo – wieś w województwie mazowieckim pomiędzy Ostrołką a Ostrowią Mazowiecką. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> kolonia – dziś o zorganizowanym wakacyjnym wypoczynku dla dzieci mówi się: kolonie (lm). [przypis edytorski]

<sup>14</sup> wiorsta – dawna rosyjska miara odległości (1,0668 km); 7 wiorst składało się na 1 milę. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> mila – dawna rosyjska jednostka miary, która wynosiła 7,4676 km. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> Goworów – prawdopodobnie pomyłka autora, miejscowość na tej trasie nazywa się bowiem Goworowo. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> sezon – tu: turnus kolonijny. [przypis edytorski]

Wybiegły przed las i z daleka powiewają chustkami.

– Wiwat<sup>18</sup>! – krzyczą chłopcy.

Chętnie by się zatrzymali, ale w domu czekają z kolacją.

Jeszcze mostek, kawałek lasu, łąka, polanka. Jesteśmy.

– Patrzcie, piecuchy: wyście na furach jechali, a myśmy pieszo przywędrowali.

Kolacja, modlitwa – umyć się z drogi i jazda do łóżek. A wtedy opowie się, co będzie jutro.

Spiesznie się myją i raz w raz któryś daje nurka do łóżka – bo ciekawi, co też im pan o dniu jutrzejszym opowie. Spiesznie się myją i spiesznie się kładą, bo się jeszcze nie znają i nic nie mają sobie do powiedzenia. Spiesznie idą do łóżek, bo jeszcze są skrępowani i grzeczni, bo to pierwszy wieczór dopiero.

Wprost nie wypada pierwszego zaraz wieczora wleźć pod łóżko i przechodzących łapać za nogi albo ukryć się w szatni i udawać stracha, albo schować Tomkowi poduszkę, niby że mu ją skradziono.

– Czy wszyscy już leżą?

– Wszyscy.

– A więc zaczynam.

I zaczął pan opowiadać, co będzie jutro.

– Rano hałasować nie wolno, dopóki nie wejdę na salę i nie powiem: dzień dobry; ubrania wydamy, ważyć was będziemy, paznokcie wam się obetnie, koloniję pokaże.

Potem pan zaczął coraz nudniej mówić:

– Trzeba sobie wzajemnie ustępować, nie bić się, przezwisk nie dawać, ubrań nie niszczyć, zwierząt nie męczyć, dziewczynkom nie dokuczać. Zawsze w pierwszym tygodniu dużo broją chłopcy: i po cóż – czyż nie lepiej dobrze się sprawować?

Ale że to, co pan mówi, nie jest zajmujące, a chłopcy zmęczeni drogą, więc coraz mniej tych, co słuchają, a więcej tych, co zasnęli.

Spostrzegł pan wreszcie, że wszystkich uspił długą przemową; poszedł do swego pokoju, tylko na wszelki przypadek zostawił okienko na salę otwarte.

A sosny już wiedzą, że nowa partia dzieci przyjechała, i mówią:

– Ot, jutro będzie wesoło.

---

<sup>18</sup> *wiwat* (z łac. *vivat*: niech żyje) – okrzyk na czyjaś cześć (tu: dziewcząt). [przypis edytorski]

## Rozdział drugi

Minister w niebieskiej koszuli. Już znają Boćka. Kosieradzki dostał skapą bluzę, a Zaremba dał dęba.

Godzina piąta rano. Po wczorajszej podróży zapewne śpią jeszcze wszyscy? Jakbyś zgadł: już pół sali rozmawia, śmieje się, biega – niecierpliwie czeka na hasło rannego wstania.

- Ty gdzie mieszkasz?
- Ty jak się nazywasz?
- Ty który raz na kolonii?

Odbywa się ważna praca w tym szepcie przerywanym śmiechem: grupa rozgląda się po sobie, zapoznaje z sobą – na złe czy na dobre?

Dylu-dylu na badylu,  
Nie potrzeba smyczka.  
Czarne oczy u dziewczyny,  
Czerwona spódniczka.

Snadź<sup>19</sup> piosenka się spodobała, bo rozlega się śmiech głośniejszy.

- Chłopaki, cicho, pana obudzicie.
- No to co? Proszę pana, niech pan przyjdzie, co pan tak długo śpi?
- Kukuryku, wstawajta, chłopaki. Świeże bułeczki czekają. Kukuryku!

Mocny sen pana, który nawet przez otwarte na salę okienko nic nie słyszy, dobrze usposabia chłopców. Zgadły sosny kolonijne: coraz weselej na sali. Teraz się pojedynek na ręczniki odbywa: słychać głucho ich uderzenia.

- Poczekajcie, jak pan przyjdzie, to powiem, że nie dajecie spać.
- Idź, powiedz. Patrzcie go: ubrał się w niebieską koszulę i przewodzi. Minister: panu powie.
- Minister poczty.
- Lizuch!
- Skarżypyta!

Teraz jeden mówi półgłosem, coś ciekawego zapewne, bo cisza zaległa: słuchają. Na sali, powtarzam, odbywa się ważna robota, grupa zapoznaje się z sobą i nie wiedząc wcale, już wybiera tych, którzy jej przewodniczyć będą – tylko czy w dobrym, czy w złym?

- No, chłopcy, zaśpiewajcie; ja wam pozwalam.
  - Cicho, bąki wilanowskie.
  - Ty sam bąk.
  - Te, piąty tam przy drzwiach, czego spać nie dajesz?
- Ktoś goni się po sali, inny klaszcze w rękę.
- Patrzcie, chłopaki, na dole jest karuzela.
- Wszyscy biegną do okien, żeby karuzelę zobaczyć.
- Idź, głupi! To kierat<sup>20</sup> od studni; konia się wprzęga i wodę się kręci.
  - A jakże: konia.
  - Może nie?
  - Widzisz, tam ośka<sup>21</sup> wisi, co się konia przyprzęga.

---

<sup>19</sup> *snadź* (daw.) – widocznie, jak widać. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *kierat* – mechanizm pozwalający z pomocą konia wyciągać wodę ze studni. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *ośka* – tu: część kieratu. [przypis edytorski]

– To się nie ośka wcale nazywa.  
– A jak?  
– Ja sam nie wiem.  
– Jak nie wiesz, to nie gadaj.  
– A wiem, bo ośka jest przy kołach.  
– Chłopcy, wróćcie do łóżek – ostrzega ktoś przezornie. – Pan mówił, żeby nie wstawać, aż pan przyjdzie i powie: dzień dobry.  
– Dziś pierwszy dzień, to wolno.  
Niezupełnie jednak są przekonani, że wolno, bo niechętnie wprawdzie, ale powracają do łóżek.  
– Proszę pana, niech pan wstanie, nam się przykrzy.  
Trzy minuty trwa cisza, może zasną jeszcze?  
Złudne nadzieje – znów stanął któryś na środku sali i mówi grubym głosem:  
– Dzień dobry, chłopcy, wstawajcie.  
A inny, zapewne minister poczty:  
– Poczekaj, pana przedrzeźniasz. Wszystko panu powiem.  
Do szóstej brak wprawdzie dwudziestu minut, że jednak nikt już nie śpi, a roboty pierwszego dnia dużo, więc można wcześniej rozpocząć.  
– Dzień dobry, chłopcy.  
– Dzień dobry.  
Otwierają oczy, podnoszą głowy – oto spali przykładnie, a pan ich obudził. Zupełnie jak w powiastce dla grzecznych dzieci. Ach, jaki ten pan głupi, że niczego się nie domyśla.  
– A który to z was jest ministrem w niebieskiej koszuli?  
Piorun z jasnego nieba! Pan udawał, że śpi, i wszystko słyszał. Co będzie teraz? Okropne, przerażające. Sam nawet minister poczty się stropił<sup>22</sup>.  
Ale pan się śmieje. Wszystko słyszał i wcale się nie gniewa.  
Pan chodzi po sali wesół, tryumfujący jak Napoleon po wygranej bitwie<sup>23</sup>: jednym udanym atakiem zdobył zaufanie dzieci, bez którego nie tylko książki o dzieciach napisać nie można, ale nie można ani ich kochać, ani wychowywać, ani dozorować nawet.  
Ośmiu chłopców, którzy śpią przy oknach, będą dyżurnymi okien<sup>24</sup>: obowiązkiem ich okna rano otwierać. Ci, którzy najlepiej łóżka pościela, będą dyżurnymi łóżek – po jednym na każdy z pięciu rzędów.  
– No, wstawać i myć się porządnie, bo będę uszy oglądał.  
Zygmunt Boćkiewicz przeciąga się leniwie, zapytuje sennym głosem:  
– Czy ja mam także wstać? Bo ja bym jeszcze trochę pospał.  
Zbiegło się pół sali, by obejrzeć chłopca, który by jeszcze trochę pospał – już wiedzą, jak się nazywa, już Boćkiem go przewali, już Achcyk, przyszły woźny kolonijnego sądu, wyraża przypuszczenie:  
– On bocian, to pewnie się żabów najadł i taki teraz ciężki.  
A Łazarkiewicz poprawia poważnie:  
– Nie mówi się: żabów, tylko: żab.  
Kiedy pół sali skupiło się wokół Boćka, drugie pół sali słucha ciekawego opowiadania Olka Ligaszewskiego. Obok Olka śpi Wiktor. Budzi się w nocy Olek, a tu nie ma kołdry – i zląkł się: myślał zapewne, że kołdra wyfrunęła przez okno jak chustka do nosa z pociągu. Zaczyna budzić Wiktora;

---

<sup>22</sup> *stropić się* – wpaść w zakłopotanie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *jak Napoleon po wygranej bitwie* – Napoleon Bonaparte (1769–1821), wybitny francuski wódz (a następnie cesarz), zwycięzca wielu bitew. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *Ośmiu chłopców, którzy śpią przy oknach, będą dyżurnymi okien* – dziś. popr.: Ośmiu chłopców (...) będzie dyżurnymi okien. [przypis edytorski]

Wiktor patrzy, a jego kołdra leży po drugiej stronie łóżka. Kołdra spaść musiała, a on był zaspany, ściągnął kołdrę z Olka i sam się w nią owinął.

– A ja, proszę pana, spadłem w nocy z łóżka.

– A mnie, proszę pana, komar ugryzł.

– To musiał być wściekły komar, proszę pana, bo mu taki duży bąbel wyskoczył.

Biegna do umywalni, gdzie są dobre i złe krany, w złe krany dmuchają, żeby więcej wody leciało.

– A moje uszy czyste, proszę pana?

– A moje czyste? Eee, pan jemu długo uszy oglądał, a mnie tylko tak po łebku<sup>25</sup>.

– Och, jak mi mokro w uszach – wzdycha ktoś, otrząsając się srodze.

Teraz każdy staje po prawej stronie łóżka, dozorca rozdaje bieliznę, potem spodnie z szarego płótna, wreszcie szelki i bluzy.

– Oo, szelki z knota zrobione.

– Oo, jaka luźna dziurka.

– Proszę pana – mówi mały Kosieradzki ze łzami w oczach – ta bluza na mnie za skąpa.

Zaremba nie czekał na bluzę, bez bluzy i czapki poleciał na werandę. Sprowadzono zbiega, a pan taki czterowiersz ułożył:

Łobuz wielki  
imć Zaremba:  
Złapał szelki  
i dał dęba

Wiersz spotkał się z uznaniem nie mniejszym niż chustki do nosa.

– O, chustki w tym roku ładniejsze, bo ze szlakiem.

– A moja bez szlaka<sup>26</sup>.

– Ale twoja większa.

– Chcesz, zamień się.

– A twój jaki szlak?

– Niebieski.

– Ja chcę czerwony.

– Idź, głupi: niebieski lepszy.

– A nie, bo czerwony.

– A najlepiej bez szlaka.

Trąbka wzywa na modlitwę poranną.

– Na werandę – brzmi komenda.

Dyżurny sali zamyka drzwi na klucz.

---

<sup>25</sup> *po łebku* – dziś popr.: po łebkach. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *szlaka* – dziś popr.: szlaku. [przypis edytorski]

## Rozdział trzeci

Nieudana próba. Pan zatrafił, pan zatrafił. Pamiętnik chłopca i podpis z zakreślasem.

Kiedy zaproponowano chłopcom pisanie pamiętników i zapowiedziano, że tym, którzy je pisać zechcą, wydane zostaną kajety – wielu znalazło się chętnych.

– Ja chcę pisać, proszę pana.

– I ja.

– I ja także.

Zaczynało wielu, nie wszyscy jednak umieli; a ci nawet, którzy umieli, pisali parę dni, potem im się nudziło – i przestawali.

Zanim kto kajet otrzyma, musi na kartce opowiedzieć na próbę, jak spędził dzień jeden.

Oto nieudana próba Antosia:

„Jak rano wstałem, pan zatrafił i zmówiłem pacierz, potem pan zatrafił i zjadłem śniadanie, potem pan zatrafił i poszliśmy do kąpieli, potem pan zatrafił i był obiad, i pan zatrafił, i poszliśmy do lasu”.

– Idź, głupi – zgromił go kolega. – Pan ci nie da kajetu. Nic nie piszesz tylko: pan zatrafił, pan zatrafił.

– A jak mam pisać?

– Jak nie wiesz, to nie pisz, a na pośmiewisko się nie narażaj, widzisz.

Potem chłopcy najbardziej się wystrzegali, żeby w pamiętniku nie było za dużo: pan zatrafił.

Wielu chłopców pisać zaczynało. Franek Przybylski, Chabelski Zygmunt, Karaśkiewicz, Fabisiak, Piechowicz, Gryczyński Czesio, Olek Suwiński – ale ten został burmistrzem, ów kapitanem okrętu, trzeci sędzią lub prezesem jednego z licznych towarzystw – i do końca dotrwali tylko: Troszkiewicz i Łęgowski.

Zamieszczę tu kilka urywków pamiętnika dla tych chłopców, którzy by chcieli kiedyś też pisać, by ich ustrzec od zbyt częstego i fatalnego: „pan zatrafił” – co, jak wiadomo, naraża autora na pośmiewisko.

Wybieram, rzecz jasna, urywki najciekawsze.

\*

Mój pamiętnik. Wrażenia z pobytu na kolonii w Wilhelmówce.

Pierwszy dzień na wsi tak spędziłem.

Wyjechaliśmy z Warszawy we czwartek<sup>27</sup> o godzinie szóstej po południu. Jechaliśmy koleją do Goworowa, a potem szliśmy, a młodszy jechali na furach. W Wilhelmówce pan ustawił nas w pary i posadził na ławki, żebyśmy zawsze tak siedzieli, i rozdano kolację. Po kolacji pan zaprowadził nas na górę do sypialni. Grupy A i B śpią na dole, a grupy C i D śpią na pierwszym piętrze; grupa E śpi na różnych salach, bo są tylko cztery sypialnie. W każdej grupie jest trzydziestu chłopców. Na sali pan pokazywał każdemu z nas łóżko, dla mnie wybrał także jedno łóżko i położyłem się, a pan chodził po sali i mówił, czego nie wolno robić i jak kto ma zmartwienie, żeby przyszedł do pana. Potem nie mogłem zasnąć, ale zasnąłem.

---

<sup>27</sup> we czwartek – dziś popr.: w czwartek. [przypis edytorski]

Na drugi dzień umyłem się, ubrałem, posłałem łóżko i poszliśmy na werandę. Po paru minutach, kiedy się już wszyscy zebrali, klękliśmy przed ołtarzem, który jest na werandzie, i zmówiliśmy pacierz, a potem śpiewaliśmy: *Kiedy ranne wstają zorze*. Potem dyżurni rozdali chleb i mleko. Po śniadaniu pan ustawił nas w pary i pokazywał granice kolonii, dokąd wolno się bawić i chodzić. Po obiedzie poszliśmy do lasu, ale dziewczynki nie przyszły, bo od nich jest dalej, więc się bały, że będzie deszcz.

Potem graliśmy w palanta<sup>28</sup>, a po kolacji umyłem nogi i jak już wszyscy leżeli, pan opowiedział historię trzech łózek, kto na nich spał przedtem.

I to jest próba mojego pamiętnika.

#### Sobota

Dziś byliśmy w kąpielu. Później, jak kto umie pływać, będzie się mógł kąpać koło łązienki, żeby mógł pływać.

Potem razem z Wojdakiem robiliśmy domki z piasku i mosty zwodzone, ale chłopcy nam przeszkadzali i psuli, więc przyglądaliśmy się, jak robią inni.

Po obiedzie grałem w warcaby, ale chłopcy zaczęli krzyczeć, że chodźcie, bo pan puszcza ogromnego latawca. Pan A. puścił go wysoko i świetnie szedł, bo był duży wiatr, a potem puszczaaliśmy pocztę do latawca, ale deszcz zaczął padać, więc go pan ściągnął, żeby płótno nie rozmokło.

Potem na werandzie był sąd na chłopca<sup>29</sup>, że męczył żabę.

#### Niedziela

Dziś jest niedziela. Ołtarz był ładnie ubrany i ławki były poustawiane; zaraz przyszła Zofiówka i widziałem się z Helenką.

Potem przyjechał ksiądz i odprawił mszę, i dziewczynki jadły u nas drugie śniadanie.

Po obiedzie poszliśmy z podwieczorkiem do lasu i pan opowiadał nam bajki, jedną śmieszna, a drugą o królewiczu, i czytałem książkę.

Po śniadaniu pan B. ma z nami śpiewy; i nauczyłem się piosenki:

Dni wiosenne zawitały,  
Słońko jasne, piękne świeci.  
Skowroneczek, ptaszek mały,  
Z ciepłych krajów do nas leci.  
Za skowronkiem, mości panie,  
Przylatujesz, mój bocianie,  
A za boćkiem jaskółeczka,  
Za jaskółką kukułeczka.  
I słowiczek ulubiony  
Spiesznie ciągnie w nasze strony.

Potem była kąpiel, a po obiedzie zbierałem gałęzie i zaczęliśmy budować szałas, który pierwszy raz w życiu robię, więc udał się nie bardzo.

---

<sup>28</sup> *palant* – bardzo niegdyś popularna gra drużynowa z użyciem piłki i kija. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *był sąd na chłopca* – dziś popr.: był sąd nad chłopcem. [przypis edytorski]

\*

Po śniadaniu były śpiewy, a potem pan poszedł z nami do lasu i stawiał stopnie ze sprawowania, i pytał się: komu tu jest dobrze i komu źle. Potem nazbieraliśmy dużo gałęzi i zbudowaliśmy szałas, który się udał.

Potem znów byliśmy w lesie i jedna dziewczynka, którą nazywają Kropoleczka, ładnie deklamowała.

Po podwieczorku grałem w palanta i zarobiłem dwie mety, a potem położyłem się, żeby trochę odpocząć, ale zasnąłem i tak mocno spałem, że nie słyszałem trąbki na kolację, lecz się obudziłem i jeszcze zdążyłem.

\*

Po obiedzie, który się składał z zupy, kaszy z pieczenią i chleba, dostałem łopatę i robiliśmy z Ligaszewskim wały przy szałasie.

Po deszczu było w lesie dużo grzybów, ja znalazłem dwa prawdziwe<sup>30</sup> i trzy maślaki, i w lesie jeden chłopiec zginął, ale się znalazł. A potem rozmawialiśmy o wypadkach.

Wczoraj zapomniałem napisać, że były sztuki magiczne i dwa grosze zamieniły się na czterdzieści groszy<sup>31</sup>.

Tak spędziłem dzień wczorajszy.

Nauczyłem się dużo ładnych piosenek i taką<sup>32</sup>:

Ja tratwę z liści zrobię,  
Zobaczysz, śliczną rzecz.  
Popłyniem z wodą sobie,  
Aż het daleko, precz.

Wczoraj była wielka zabawa w Zofiówce i teatr. Roztworzyła się<sup>33</sup> kurtyna i była matka chora, i miała trzy córki. Przyszedł starzec prosić o gościnność i one go zapytały, jak uzdrowić matkę, i staruszek kazał przynieść wody z lasu.

W drugim akcie przyszły dwie córki do lasu, ale potwór je przestraszył i uciekły. Potem przyszła trzecia córka i koło niej aniołowie. Potwór wyszedł z wody i powiedział: „Nie dam ci wody, dopóki nie zostaniesz moją żoną”. Ona się zgodziła, wzięła wody i poszła do domu.

W trzecim akcie przychodzi królewicz i chce się żenić z tą córką. Bo ten potwór w lesie to był zaczarowany królewicz.

\*

Dużo jeszcze ciekawych rzeczy mieściło się w pamiętniku, a na ostatniej stronie było starannie napisane:

---

<sup>30</sup> *prawdziwy* – tu: grzyb prawdziwy, prawdziwek. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *dwa grosze zamieniły się na czterdzieści groszy* – dziś popr.: dwa grosze zamieniły się w czterdzieści groszy. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *taką* – popr.: takiej (nauczyłem się (...) i takiej). [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *roztworzyć się* (reg.) – otworzyć się, rozsunać się. [przypis edytorski]

„Koniec całego kajetu, zapisanego pamiętnikiem, co robiłem na kolonii, co  
widziałem i co słyszałem”.

I podpis autora z wielkim zakreślasem.

## Rozdział czwarty

Duże troski małych dzieci. Wacek już nie mówi „szczeniaku”. Święte łyzy i Towarzystwo Opieki nad Samotnymi.

Pamiętacie zapewne, jak w Michałowce tęsknił do domu Lewek Rechtleben; jak się raz miły Prager rozplakał, gdy przypomniał sobie, że ojcu grozi zesłanie na Syberię; jak ktoś inny zapytywał w liście, czy brat znalazł już pracę i czy zarabia.

Niejedną troskę serdeczną<sup>34</sup> noszą w duszy te dzieci, które, pozornie tak wesołe i uśmiechnięte, witają las i łąkę, gwarne zabawy, jagody, śpiewy i kąpiel.

Prawda, Stefku – prawda, Władziu, Olesiu, Karolku – czasem małe dzieci mają duże troski?

\*

Stefek Trelewicz zostawił w Warszawie małego Wacka. Wacek ma cztery lata i wszyscy go bardzo kochają. Czasem ojciec da małemu Wackowi dwa grosze, Wacek zaraz nogi za pas i biegnie do sklepiku po karmelki<sup>35</sup> albo czekoladkę. A sklepiak jest po drugiej stronie ulicy, a przez ulicę tramwaj elektryczny przejeżdża. Mały Wacek wpaść może pod tramwaj. Niedawno w sąsiednim domu też tramwaj dziewczynkę przejechał. Kto teraz pilnuje małego?

Tatusz o siódmej rano wychodzi, bo służy<sup>36</sup> w sklepie z futrami, musi sklep wcześniej otwierać; mama także dzień cały zajęta – kto teraz małego pilnuje?

Płakał Stefek przez dwa wieczory, trzeciego wieczora płakać nie zdążył, bo zasnął, potem list z domu dostał i już się pocieszył. Tylko prosi, żeby mu pan osobno mówił dobranoc, bo w domu go tatuś zawsze na dobranoc całuje. I prosi, żeby Lutek także przychodził mówić mu dobranoc, bo Stefek ma w grupie C brata Lutka.

Kiedy pierwszy raz przyszedł Lutek z grupy C na naszą salę, zaczęli go chłopcy wyganiać:

- Oo, proszę pana, cudzy się kręci. A sio, a sio!
- Co to ja kura – oburzył się Lutek – żeby na mnie „a sio” wołać?
- To nie cudzy – a Stefka brat<sup>37</sup>.
- Ale nie z naszej sali.
- To co? On przychodzi Stefkowi dobranoc powiedzieć.

I Lutek, chociaż cudzy, bo z grupy C, przychodzi co wieczór Stefkowi dobranoc powiedzieć, i Stefek się już nie boi o małego...

\*

Tęsknił do domu Krawczyk, dopóki do Zofiówki nie poszedł i nie przekonał się na własne żywe oczy, że w Zofiówce naprawdę jest siostra i że się z nią będzie mógł często spotykać.

Smutny jest i Kowalski, bo za tydzień będzie u nich w Warszawie wesele, będą goście, muzyka i tort z cukierni, a on tortu nawet nie skosztuje.

---

<sup>34</sup> *serdeczny* – tu: szczerzy, prawdziwy. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *karmelki* – tu: cukierki. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *służyć* – tu: pracować. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *To nie cudzy, a Stefka brat* – dziś popr.: To nie cudzy, ale Stefka brat. [przypis edytorski]

\*

Władek Szawłowski martwi się o matkę.

– Mama będzie musiała sama ojcu obiad zanosić, bo siostra także wyjechała na wieś, do stryja.

– No i cóż w tym złego? Będzie mama ojcu obiad nosiła, przecież obiad nie taki znów ciężar.

– Pewnie, że nie ciężar, ale do fabryki daleko, a mama na nogi choruje i często głowa ją boli.

Władkowi się przykrzy. Myślał, że kolonie to jakaś szkoła, że się tu dużo nauczy, a gdy do Warszawy wróci, zacznie zarabiać i mama nie będzie pracowała tak ciężko. Bo jak mama pierze, nogi jej puchną i głowa ją boli.

\*

Nie każdy powie od razu, czemu smutny, dlaczego płacze.

Wacek płacze. Dlaczego? Ząb go boli. Zapewne w zębie jest dziura, można mu watę z kroplami w ząb włożyć. Nie, nie chce: ząb go nie boli, tylko głowa. Są w kolonijnej aptece proszki na ból głowy. Kiedy tak, powie już prawdę: nic go nie boli, tylko chce wrócić do domu, bo mu się tu nie podoba.

I to jednak nie było prawdą. Wacek skłamał, bo nie chciał ojca własnego obmawiać. Podoba mu się kolonia, ale Wacek ma ojca pijaka.

W dzień wyjazdu ojciec się strasznie z mamą pokłócił, bo mama chciała odprowadzić Wacka na dworzec, a ojciec powiedział, że Wacek sam trafi, że go diabli nie wezmą. Jak mama wróciła z dworca, ojciec ją pewnie zbił. W zeszłym roku, gdy Wacek wrócił z Psar<sup>38</sup>, mama leżała chora, tak ją ojciec pobił.

Gdy Wacek jest w domu, mamie wodę przyniesie, izbę zamiecie, po ojca pójdzie, to ojciec się zawstydzi i nie przepije pieniędzy.

Wacek jest niedobry, źle się uczy, nie zdał do trzeciego oddziału<sup>39</sup>, z chłopcami się bije. Ale na kolonii bardzo się poprawił: już nawet „szczeniaku” rzadko kiedy powie i wtedy tylko, kiedy go bardzo kto<sup>40</sup> zgniewa.

\*

A czemu znów Olek płacze?

Olek jest jedynakiem, mama jego jest wdową; więc ani brata tramwaj nie przejedzie, ani mamy nikt nie ukrzywdzi<sup>41</sup>.

Ale mama Olka nie ma na świecie nikogo – nikogusieńko, a teraz, kiedy Olek wyjechał na kolonie, mama jest już zupełnie sama – samiusienieczka jedna na świecie. Mama szyje koszule, tak długo w noc szyje; kiedy się Olek tylko obudzi, zawsze widzi, jak mama siedzi i szyje. Mama jest taka dobra i taka biedna, i nie ma nikogo, ale to nikogo na świecie.

Olek płacze, a każda łza Olka jest tak święta, jak gdyby w każdej łzie Olka był krzyż, a na krzyżu Chrystus bardzo smutny.

Prawda, że trzeba się starać, aby Stefkowi, Wackowi, Olkowi i wszystkim dzieciom dobrze, wesoło było na kolonii?

---

<sup>38</sup> Psar – jedno z letnisk, gdzie Towarzystwo Kolonii Letnich organizowało wypoczynek dla dzieci. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> oddział (daw.) – klasa w szkole podstawowej. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> kto – tu dziś popr.: ktoś. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> ukrzywdzić (daw.) – skrzywdzić, wyrządzić krzywdę. [przypis edytorski]

Toteż się starają panowie, a nieocenione zasługi w tym względzie położyło Towarzystwo Opieki nad Tymi, Którzy Nikogo Nie Mają.

Siedzibą Towarzystwa jest szałas Bartyzka, Pogłuda i Dąbrowskiego na Łysej Górze.

Co parę dni zapytuje pan chłopców, czy wszyscy już mają przyjaciół, z którymi razem się bawią; bo zdarzyć się może, że ktoś jest nieśmiały albo nie lubi biegać i dokazywać – i dlatego unika znajomości, i nudzi się, choć wokoło tyle wesela i śmiechu.

I tymi właśnie, którzy nikogo nie mają, opiekowało się Towarzystwo – tam znalazł przytułek Kopka-sierota.

Właściwie Kopce zawdzięcza Towarzystwo swe powstanie.

Karolek Kopka jest trochę głupi, jąka się i czasem mdleje. Ojciec jego jest stróżem, matka dawno umarła. Kopkę biją w domu; raz uderzono go w głowę, dziesięć dni chorował, a kiedy wyzdrowiał, zaczął się jąkać i nie był już tak mądry jak przed chorobą.

I dlatego na kolonii nie bardzo chciano się z nim bawić.

Raz Kopka wyprosił sobie łopatę. Pan nie od razu chciał mu dać łopatę, ale Kopka prosił, bardzo prosił. Łopata nie przyniosła mu szczęścia. Kiedy zobaczyli chłopcy, że Kopka taki bogacz, że dostał łopatę, zaraz się znalazło wielu przyjaciół, doradców, wspólników.

– Choć, Kopka, ja mam gałęzie, zbudujemy razem szałas.

Co było dalej, trudno wiedzieć, dość że zabrano Kopce łopatę, nic mu w zamian nie dano; i zawlókł się, biedak, do szałasu Bartyzka, gdzie akurat nikogo nie było, tam położył się na posłaniu z trawy i zasnął splotany.

I przygarnięto Kopkę-sierotę, potem wzięto do siebie Kasprzyckiego, który ma krzywe nogi po angielskiej chorobie<sup>42</sup>, i Siniawskiego-Dziadygę, który ma twarz przez ospę zeszpeconą, wreszcie miłego Grudzińskiego, który z dala się trzymał od chłopców, bo go mama prosiła, żeby się nie zadawał z łobuzami, a on sam nie umie odróżnić, kto łobuz, a kto niełobuz.

Kiedy w szałasie Bartyzka zawiązało się Towarzystwo Przyjaciół Czytania, spokojny Grudziński został jego prezesem, bo czyta płynnie nie tylko powiastki, ale nawet wiersze.

O tym się później obszernie opowie.

---

<sup>42</sup> *angielska choroba* – krzywica, choroba dotykająca dzieci, związana najczęściej z niedoborem witaminy D. [przypis edytorski]

## Rozdział piąty

Przedhistoryczne czasy górki pod dziką gruszą. Niezawodny przepis na budowanie domków z piasku. Narodziny, rozwój, zagłada.

Na górcie koło dzikiej gruszy w ubiegłym sezonie wznosiła się groźna forteca. Jakkolwiek już dwa tygodnie upłynęły od ostatnich bojów i niejeden deszcz zmywał dumną twierdzę – doskonale się zachowały jej wały i rowy; widnieje jeszcze kopiec pułkownika Suchty, część pierwszego i cały fort drugi, i chłopcy uczą się dawać nurki z wałów i pływać tu na piasku.

I tu oto, na polu krwawych walk, pierwsi budowniczy: Bień, Iwanicki i Słotwiński wzniesli pierwszy domek z piasku, otoczyli go ogródkiem z gałązek i kwiatów i ogrodzili parkanem z patyków. Domek był bardzo pierwotny: nie miał ani drzwi, ani okien, ani komina. Nie uwłacza to jednak honorowi naszych budowniczych. I pierwszy parowóz, i pierwsza maszyna drukarska były również niedoskonałe i dopiero całe pokolenia następców pracowały nad ulepszeniem wiekopomnego wynalazku.

Właściwie Bień, Iwanicki i Słotwiński nie byli wynalazcami, bo – jak wieść niesie – już w Warszawie sztuka budowania domków z piasku święciła liczne tryumfy. Oto na Nowej Pradze zbudowali raz chłopcy całą Jasną Górę, nie zapomnieli nawet o szwedzkich kulach, bo w murach częstochowskiego klasztoru tkwiły jagody czeremchy.

Tym niemniej zasługa ich jest wielka, że potrafili w odległej Wilhelmówce rozniecić ognisko szczerego zapału dla budownictwa.

Nie posiadam dość danych, by twierdzić stanowczo, wyrażam jednak przypuszczenie, że domki z piasku z biegiem czasu przetworzyły się w szałas z gałęzi, szałas tak dostojne, że nawet pastuch chronił się w nich przed sypką<sup>43</sup>, a raz nawet przed burzą.

Zabawa w domki z piasku, pierwsza wspólna zabawa na wspólnym terenie, w ciągu trzech dni powstała, przeżyła okres rozkwitu i upadku.

Niezawodny przepis na budowanie domków z piasku zachowałem i przytaczam w całości, by służył przyszlęmu historykowi, gdy zechce pisać dzieje górki koło dzikiej gruszy:

„Bierze się kupkę piasku i się ją oklepuje. Jak się ją już oklepie, to się ją gładzi. Piasek trzeba brać z głęboka, bo na wierzchu jest suchy, a z suchego nie chce się robić, bo się sypie, a wieża to się już nigdy nie ulepi. Jak się kupkę oklepie i ogładzi, to już teraz wszystko zależy od tego, co się chce zrobić. Drzwi i ramy okien robi się z patyków, a do ozdoby i na baszty bierze się szyszki zwyczajne albo lepiej zielone. Domek w cieniu dłużej trwa” (Franciszek Przybylski).

Pierwszego dnia kopano rękami, drugiego dnia pan miał nudną przemowę o tym, że należy być bardzo ostrożnym – i wydał na próbę tylko pięć łopat.

Domki z piasku mają już drzwi, okna, kominy – jednakże nie koniec na tym.

Badun obok chałupy zrobił krzyż z dwóch patyków związanych trawą. I wszyscy zaczęli robić krzyże obok domków z piasku.

Pogłud obok zagrody wykopał studnię z żurawiem, a Szynkiewicz, Cyganem zwany, w ten sposób ulepszył studnię, że na żurawiu zawiesił na trawce szyszkę, która jest kubłem.

Karaś pokrył dach chałupy liśćmi brzozowymi – i przez całą godzinę modne były brzozowe strzechy.

Do ogrodu Kowalczyka weszła mrówka i szła akurat dróżką.

– O, mrówka. O, jak sobie idzie.

– Ciężko jej, biednej, iść po piasku.

– To ją puśćcie na trawę.

---

<sup>43</sup> *spieka* (daw.) – spiekota, upał. [przypis edytorski]

- Głupi, w trawie jeszcze gorzej trudno.
- O, jakie ma nóżki. O, na wał idzie, na wał.
- Spadnie.
- Nie spadnie.
- Spada.
- O, spada.
- Daj, ja ją wytrę, bo się piachem umazała.
- Idź, mrówkę będzie wycierał. Skórę byś z niej zdarł.
- A mrówka ma skórę?

I zapewne mrówki weszłyby teraz w modę, ale Terlecki zbudował zamek warowny i most zwodzony.

Natychmiast zaczęto budować zamki warowne i na wyścigi ulepszano mosty zwodzone. Łańcuchy i liny mostów pleciono z sitowia, deski robiono z patyków.

Chabelski wyrzył pod zamkiem pierwszy loch z trzema wyjściami. Rzecz jasna, że w zamkach muszą być lochy. Zaczęto przerabiać stare zamki na modne, z lochami, podczas przeróbki niejeden się zawalił.

- A nie mówiłem, że się zawali.
- Bo stoisz i gadasz nad głową.
- Nie gadam, tylko do lochów trzeba inaczej budować.
- A jakże, inaczej.
- To idź i zobacz, jak oni robią fundamenty.

Teraz modne są kaplice przy zamkach i baszty z szyszek.

– Czterdzieści dwa sysek znalazłem – mówi mały Frankowski, wysypując je z kieszeni i z czapki.

- A ja znalazłem uleگاłki na kule armatnie.
- Pokaż, patrz, jaki ty jesteś. Daj jedną uleگاłkę.
- Widzisz go, będę mu dawał.
- Czy to są aby prawdziwe uleگاłki? – ktoś pyta nieufnie.
- A może fałszywe?

Właściciel prawdziwych uleگاłek wnet znalazł współników do budowy twierdzy z basztami, wałami, rowami, lochami, zwodzonymi mostami i składem amunicji. Uleگاłki leżeć będą przy wejściu do prochowni.

Nowe ulepszenie!

Zieliński zbudował całą wieś z kościołem, a na szosie widnieją latarnie. Na patyk nasadza się szyszkę i latarnia gotowa. Tak proste, a przecież tak późno dopiero przyszło do głowy.

Łęgowski wprowadził pierwsze schody – i od tej pory nawet zwyczajne chałupy miały choć po jednym schodku przy wejściu.

Nie należy sądzić, by przy budowaniu wszystko odbywało się zgodnie.

Królik z grupy C pokłócił się ze swą parą przy budowie czatowni<sup>44</sup>.

- Tu potrzebna dziurka – mówi para.
  - Nie potrzeba dziurki.
  - A skąd będą strzelali?
- Zamyślił się Królik, ale że ustępować nie lubi, więc mówi:
- Z dachu będą strzelali.

Niewłaściwość podobnego rozwiązania sprawy zbyt biła w oczy, by para Królika nie miała się pobić z Królikiem. I w gruzy rozpadł się gmach pyszny, dźwignięty z takim mozołem.

---

<sup>44</sup> *czatownia* (daw.) – strażnica, punkt obserwacyjny. [przypis edytorski]

Ileż razy przekonali się tu budownicy, że zgodą drobne sprawy wzrastają, od niezgody giną największe.

*Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur* – mówi łacińskie przysłowie.

Jednym łopaty przyniosły pożytek, bo głębiej kopali i wilgotniejszy mieli materiał do budowy, innym łopata tylko przeszkadzała w robocie, bo nieciła niezgodę. Jedni długo gromadzili materiał do budowy, a nic nie zrobili, inni mało zrobili, za to dużo piasku mają w uszach i za koszulą; inni wreszcie zamiast zakasać rękawy i jąć się pracy, woleli łaźnić i krytykować wysiłki towarzyszków.

– Ten dom tak wygląda, jakby się miał zawalić. Okna krzywe, brama za daleko.

– Pilnuj swego nosa.

Byli tu skromni a skrzętni, twórcy i naśladowcy, wytrwali i niecierpliwi – i zgoła trutnie.

Drugiego dnia domki z piasku dosięgły najwyższego rozwoju, trzeciego dnia majstrowali już tylko malcy, starsi inne teraz żywili ambicje.

Słońce wysuszyło piasek i walić się poczęły pyszne pałace i skromne chateńki, górka pod dziką gruszą opustoszała, ale nie na długo.

## Rozdział szósty

Do Zofiówki. Pierwsze spotkanie. Zwierzenia Wikci. Wielkie tajemnice.

– Chłopcy, ustawiać się w pary. Idziemy do Zofiówki.

– Uuuuu!

Kto krzyczy: uuu! – ten się cieszy, kto krzyczy: ojoj! – ten się bardzo cieszy; a najbardziej się cieszy ten, kto nic nie mówi.

Wiktor Krawczyk, który ma się przekonać na własne żywe oczy, że w Zofiówce jest jego siostra, nie mówi nic z wielkiego wzruszenia, tylko mocno trzyma za rękę swą parę, żeby mu nie uciekła.

– Proszę pana, moja para gdzieś się podziała.

– Ej, chłopaki, gdzie moja para od samowara?

Raz jeszcze powtórzono chłopcom, że powinni być rycerscy względem dziewcząt...

Ruszamy w drogę – siedemdziesiąt pięć par – każda grupa z chorążym na czele...

– Ja mam kuzynkę w Zofiówce.

– Moja siostra była w pierwszym sezonie...

– Polcia to jest Apolonia. Może być też Paulina.

– Proszę pana, on się depcze po nogach.

– To idź prędzej i nie gap się, gapiu.

– Proszę pana, on się przeżywa...

Niezmiernie ciekawe zjawisko: jak się włoży kłós pod koszulę na brzuch i się idzie – to kłós podnosi się, podnosi do góry, aż dojdzie do szyi i wyjdzie przez kołnierz.

– Nie wierzysz, to się załóż...

Piąta para rozmawia o kolonii w Pobożu<sup>45</sup>, szósta spiera się o to, czy kamienie rosną, siódma projektuje, co kupi, gdy im przed wyjazdem pan odda pieniądze.

– O kolej! Kolej idzie!

– Nie pchaj się. Proszę pana, on się pcha.

Ktoś pierwszy zaczął śpiewać – wszyscy teraz śpiewają.

– Proszę pana, czy do Zofiówki jest wiorsta?

– Czy to prawda, że będzie muzyka i będziemy tańczyli?

Tańcowała ryba z rakiem,  
A pietruszka z pasternakiem.  
Cebula się dziwowała,  
Jak pietruszka tańcowała.

– Ja będę nogi podstawił, żeby się przewracali – projektuje Achcyk, który bije, gdy Zechcyg<sup>46</sup> na niego wołają.

A mały Wiktor Krawczyk co chwila wybiega z pary i pyta się, czy jeszcze daleko.

– Trzy mile za piec – drażnią się z nim chłopcy.

Dziewczeta już z dala poznały nasze chorągiewki i biegają naprzeciw.

– Chłopaki idą, chłopaki!

– Chłopaki-straszaki!

---

<sup>45</sup> *Pobórz* – wieś w województwie łódzkim. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *Zechcyg* – prawdopodobnie nawiązanie do dawnej gry karcianej o nazwie zechcyk (z niem. *sechzig*: sześćdziesiąt). [przypis edytorski]

– Chłopaki-drapaki!

Mały Wiktor puścił się jak kula armatnia i z wielkiego wzruszenia siostrę pocałował w rękę; a siostra się rozpląkała: bo Wiktor jest mały i pewnie mu chłopcy dokuczają...

Siostra Czerewki też wybiegła na spotkanie brata, ale dostrzegłszy go, bardzo się zawstydyła i uciekła. Siostra Ańdziaka dała bratu w łeb czapkę płócienną; a układny Troszkiewicz przedstawił panu kuzynkę:

– To jest, proszę pana, Helenka.

Helenka ładnie dygnęła i oznajmiła, że wczoraj list z domu dostała...

Mały Gawłowski długo i uważnie przyglądał się dziewczynkom, potem westchnął głęboko i, zmarszczywszy brwi z wielkiego skupienia, orzekł stanowczo:

– Dziewuchy mają takie same czapki jak my.

Przed werandą na ławkach siedzą dziewczęta.

Chłopcy, zapomniawszy o należytym damom rycerskości, spędzili je z ławek, sami się rozsiedli; a damy, ochłonawszy szybko, odwojowały czapkami utraconą placówkę.

Nie obyło się bez wielkiego hałasu, wskutek czego wszystkie wróble pouciekały z Zofiówki.

Koło studni bawią się dziewczynki w szkołę.

– W szkołę się tam na wsi bawić – śmieją się chłopcy.

A Wikcia Korzeniowska opowiada Felkowi w wielkiej tajemnicy swe liczne przygody...

Wikcia i Felek mieszkają w Warszawie na jednym podwórku, Felek jest przyjacielem brata Wikci i obiecał, że się Wikcią będzie opiekował.

Wikcia ma w Warszawie dwie lalki: jedną dostała od cioci, drugą dostała – także od tej samej cioci. Wikcia ma jeden krzywy ząb i siostrę Elżbietkę, i brata Władka, a krzywy ząb ma dlatego, że jak ząb mleczny wyleciał, ciągle to miejsce ruszała językiem. Teraz Elżbietka nie ma się z kim bawić i pewnie się bawi lalkami.

Wikci zrobiła się krosta na języku, bo za dużo gadała, a Władka raz chłopiec trafił kamieniem i tak mu krew leciała, a teraz ma znaczek na czole.

Jak Władek idzie z Felkiem kąpać się do Wisły, Wikcia się modli, żeby się nie utopili. Władek chodzi na obiady do cioci, tej samej, która dała Wikci raz lalkę, a kiedy indziej drugą lalkę.

Wikcia najwięcej kocha mamę, a tatusia i Elżbietkę kocha zupełnie tak samo, i tak samo kocha Władka i Felka, i ciocię, chociaż Felek nawet nie jest kuzynem. Ale swojej pary na kolonii nie kocha. Para jest niegrzeczna, nikomu nie da przejść drogi i zaraz się kłóci. Para nazywa się Zosia i gdyby ją Wikcia znalazła, toby ją pokazała.

Z tą parą Wikcia się nawet pobiła i chętnie opowie, jak było, ale żeby nikomu nie mówić, bo to jest tajemnica.

Jakaś dziewczynka wzięła tej parze dwie szyszki, a para myślała, że Wikcia, i powiedziała na nią coś, co się Wikcia wstydy powtórzyć. Potem para pchnęła Wikcię, Wikcia pchnęła parę i para ją tak podrapała, że aż pęcherz wyskoczył. I teraz już do siebie wcale nie mówią.

Wikcia chce jeszcze coś powiedzieć, ale w największej tajemnicy.

Więc właściwie one się już dawno gniewają, od wczoraj po obiedzie.

Bo kiedy raz Wikcia zrobiła domek i stół, i wszystko z piasku, i takie było ładne, że pani z grupy E przyszła obejrzeć, niby że chce u Wikci wynająć mieszkanie, to Wikcia poprosiła parę, żeby się razem bawiły. A jak wczoraj para zrobiła mieszkanie i Wikcia chciała się przyłączyć, to para powiedziała, żeby sobie poszła, że już nie ma miejsca.

A rano, jak się myją, para nikomu nie chce dać mydła. A jeszcze dawniej para naplotkowała na Władka, że jest łobuz i że go wyrzucą ze szkoły. Wtedy Wikcia już nie mogła wytrzymać i powiedziała: „Ty kłamczuchu” i „Ty drapieżny kocie”. Bo para wcale nie zna Władka, bo zupełnie gdzie indziej mieszkają.

Wikcia nie lubi się kłócić i nigdy nie mówi takich wyrazów, ale w największej tajemnicy powie, co na nią para powiedziała: powiedziała na nią „Smarkatka”, a potem „Smarkula”, a potem „Plotkara”.

Wikcia już woli, żeby na nią mówili „Smarkatka”, bo to znaczy, że jest mała, a być małą nie wstyd, bo urośnie; „Plotkara” jest znacznie gorzej, bo znaczy, że plotki robi, a ona przecież mówi tylko w wielkiej tajemnicy. „Smarkula” znaczy zupełnie to samo co „Smarkatka”. To są bardzo brzydkie wyrazy – znaczą, że Wikcia nosa nie wyciera, i Wikcia aż się wstydzi, że musiała je powiedzieć, ale tylko w największej tajemnicy.

Jak Wikci raz drzazga weszła w nogę, to jej się przykrzyło na kolonii i chciała pojechać do Warszawy, ale teraz, kiedy jest Felek, Wikcia cały rok mogłaby już tu siedzieć...

Felek uważnie wysłuchał wszystkich tajemnic Wikci, trochę się uśmiechał, a kiedy zapytano, czy Wikcia jest mądra i czy ją lubi, odpowiedział, że bardzo mądra jeszcze nie jest, bo jak opowiada, to wszystko razem płacze, ale bardzo ją lubi, bo jest dobra, i zna ją, kiedy była jeszcze zupełnie malutka.

Tymczasem Wikcia znalazła parę, a że parze było zimno, więc jej Wikcia dała ponosić swoją pelerynę – i przeprosiły się, i Wikcia prosiła, żeby wszystko aż do wyjazdu zachować w najgłębszej tajemnicy.

## Rozdział siódmy

Sprawa o gniazdo, o żabę, o kąpiel. Daj nos, Dajnowski.

Zgadnijcie, ile spraw rozpatrywał sąd kolonii Wilhelmówki w ciągu dwóch sezonów.

Czterdzieści trzy sprawy.

Okropnie dużo. Jeśli jednak zważyć, że dwoje dzieci, bawiąc się w pokoju, potrafi często w ciągu godziny pięć razy pokłócić się, poskarżyć mamie, znów pogodzić i znów pokłócić, to dla stu pięćdziesięciu chłopców na wsi w ciągu czterech tygodni i znów stu dwudziestu w ciągu następnych czterech – ta ilość spraw<sup>47</sup> sądowych nie jest zbyt wielka.

A wyroki?

Najwyższa kara: dwadzieścia minut klęczenia – tylko dwóch chłopców dotknęła...

Ileż to razy zdawało się, że chłopiec bardzo zawinił; a kiedy sąd wniknął we wszystkie szczegóły – wina stawała się mniejszą, małą, maleńką.

P. starszy, S. i B.<sup>48</sup> zniszczyli gniazdo ptasie. W gniazdku było pięć jajek.

Zrabowane gniazdo oskarżeni sami rozebrali i obliczyli, że było w nim<sup>49</sup>: siedemdziesiąt trzy piórka, dwieście osiemdziesiąt słomek, dwieście czterdzieści sześć źdźbeł kory brzozonej, sto czterdzieści osiem włosów końskich. Ileż to pracy drobnej, słabej ptaszyny poszło na marne. A te jajeczka małe, toż to dzieci ptasząt. Dom zrujnowany, dzieci zabite!

Oskarżyciel żądał najsurowszej kary, ale głos zabrał obrońca:

– Sędziowie, spójrzcie na oskarżonych. Jeden z nich płacze, jeden siedzi smutny, a jeśli trzeci się śmieje, to dlatego tylko, by ukryć swój smutek. Sędziowie, czy by oni popełnili czyn tak zły i niemądry, gdyby wiedzieli to, co teraz wiedzą?

Długo mówił i tymi słowami zakończył obrońca:

– Sędziowie, zapewniam was: że gdyby ten ptaszek był tu obecny, mógł do was przemówić, na pewno tak by powiedział: „Chłopcy wyrządzili mi wielką, wielką krzywdę, ale przebaccie im, bo kara ani nam chatki naszej nie powróci<sup>50</sup>, ani nie wskrzesi nam dzieci. Poproście jednak, aby tego nigdy nie robili, bo i my mamy serca, które umieją kochać i przebaczać”. Sędziowie, nie bądźcie gorsi od małej ptaszyny.

Wyrok w dosłownym brzmieniu głosi:

„Dnia 3 lipca, w piątek, po podwieczorku, sąd kolonii złożony z sędziów: Tarkowskiego z grupy A, Holca z grupy B, Antczaka z grupy C, Faszczewskiego z grupy D i Spychalskiego z grupy E – rozpatrywał sprawę o zniszczenie gniazda ptasiego przez: P., S. i B. Wszyscy przyznali się dobrowolnie do winy.

Sąd, biorąc pod uwagę, że:

1. zniszczono gniazdko po raz pierwszy;
2. zrobiono to nie w złej myśli, nie w celu skrzywdzenia bezbronnego i niewinnego ptaszka;
3. winni nie wykręcali się, nie kłamali, a<sup>51</sup> od razu i wyraźnie wszystko opowiedzieli...

Sąd, biorąc to pod uwagę, postanowił:

B. i P. starszy jeść będą dziś kolację osobno.

Dalej sąd, uznając udział S. w zniszczeniu gniazda za niedowiedziony i widząc szczerzy żal jego, postanowił:

---

<sup>47</sup> ilość spraw – dziś popr.: liczba spraw. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> P. starszy, S. i B. – autor podaje nazwiska w skróceniu, nie chcąc robić chłopcom przykrości, gdyby opowiadanie wpadło im w ręce. [przypis autorski]

<sup>49</sup> było w nim – dziś popr.: byli w nim. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> nie powróci – dziś raczej: nie zwróci. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> nie kłamali, a – dziś popr.: nie kłamali, ale. [przypis edytorski]

S. przebaczyć...”

Gorsza była następna sprawa, a jakkolwiek i tu obrońca próbował choć w części usprawiedliwić oskarżonych, wyrok wypadł po myśli prokuratora:

„Tenże sąd na tymże posiedzeniu rozpatrywał sprawę o męczenie i zabicie żaby przez W. Sąd, biorąc pod uwagę, że:

1. W. chciał zobaczyć serce żaby, o którym w szkole opowiadał i na obrazku pokazywał w Warszawie nauczyciel;

2. W. jest pierwszy raz na kolonii i mógł nie wiedzieć, jak bardzo zabrania się tu męczenia zwierząt,

postanowił łagodnie ukarać oskarżonego.

Zważywszy jednak, ile bólu sprawił niewinnemu stworzeniu – wyznaczył karę: dziesięć minut klęczenia”.

„Tenże sąd na tymże posiedzeniu rozpatrywał sprawę Z. oskarżonego o zabicie dwóch żab.

Sąd, biorąc pod uwagę, że Z. uczynił to bez żadnego powodu, gdyż nie można uważać za dostateczny powód, że żaby przestraszyły go podczas zbierania poziomek, postanowił ukarać Z. przez klęczenie w ciągu dwudziestu minut.

Tym, którym wyrok ten może się wydawać zbyt surowym, sąd przypomina, jak bardzo cierpiały dręczone żaby.

Sąd przypomina z naciskiem, że nie wolno śmiać się z odbywających karę, a to pod grozą poniesienia kary podwójnej”.

Druga surowa kara dwudziestominutowego klęczenia przypada w udziale Staśkowi, który stale się spóźniał, nigdy po trąbce nie przychodził z lasu i szukać go trzeba było zawsze.

\*

Jedna tylko sprawa wyłączona była spod władzy sądu koleżeńkiego i tę rozpatrywał sąd złożony z dozorców.

Kilku chłopców poszło kąpać się w rzece – jest to największe kolonijne przestępstwo.

Bo pomyślcie tylko: rodzice powierzają dziecko koloniom letnim; jeszcze w zimie pamiętać musieli, by iść do zapisu<sup>52</sup>, potem do lekarskiego badania<sup>53</sup>, a jeszcze metrykę trzeba było odszukać. Niełatwo matce oderwać się od gospodarstwa, biec do biura z odległej ulicy; a ile się natroskała: czy aby wysła, czy miejsc nie zabraknie, a może na próżno się trzodzi?

Po co tyle troski i zachodów? Po to, by dziecko na wsi przyszło nieco do zdrowia.

I nagle matka otrzyma wiadomość, że syn się utopił w rzece! Taki wypadek miał raz miejsce, lat temu piętnaście, i od tej pory najsurowiej zabrania się dzieciom chodzić samym do rzeki.

Cóż z tego, że jeden z chłopców, którzy poszli się kąpać, pływa tak dobrze, że Wisłę tam i z powrotem przepływie? Jeśli dziś jemu pozwolimy, to jutro wymknie się jakiś niedołęga, a o nieszczęście tak łatwo.

Dozorcy napisali do rodziców karty otwarte tej treści:

„Niniejszym zawiadamiamy Szanownego Pana, że syn Jego wydalili<sup>54</sup> się samowolnie z kolonii i poszedł do kąpieli bez dozorca. Prosimy o zawiadomienie, jak go za to ukarać. Rzeka jest głęboka i za skutki podobnych wycieczek odpowiedzialności na siebie brać nie możemy.

Dozorcy dzieci”.

---

<sup>52</sup> do zapisu – tu: do biura Towarzystwa Kolonii Letnich, gdzie odbywały się zapisy na kolonie. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> do lekarskiego badania – dziś popr.: na badanie lekarskie (a. pot.: do lekarza na badanie). [przypis edytorski]

<sup>54</sup> wydalić się (daw.) – oddalić się. [przypis edytorski]

Jednakże obiecano chłopcom, że karty wysłane nie będą, jeśli dadzą wszyscy uroczyste zapewnienie, że do końca sezonu sami do kąpieli nie pójdą ani razu.

I do dziś dnia karty te leżą w mojej szufladzie, zachowane na pamiątkę o pięciu dzielnych chłopcach, którzy mieli odwagę przyznać się do przewinienia i mieli taki hart ducha, że choć ich nęciła rzeka, dotrzykali danego przyrzeczenia.

Wyrosną z nich dzielni ludzie!

\*

Najwięcej spraw cywilnych, to jest spraw, gdzie chłopiec, a nie dozorca oskarża – dały nam przezwiska.

Sowińskiego nazywają Sową, Stachlewskiego – Staśka, Frankowskiego – Frankiem albo Żydkiem, Achcyga – Zechcygiem.

Na Pajera wołają: Frajer Pierwszy albo Frajer Pompka, na Nowakowskiego: Cip, cip, cip, nowa kokoszka; a Dajnowskiego za nos łapią i mówią: Daj nos, Dajnowski.

Kto się nazywa Janek, ten zbił dzbanek, kto Felek – ten zjadł babie serdelek. Michniewski – Cygan, Gajewski – stary gajowy – gruszek na wierzbie pilnuje, a Omelańczyk – ele mele dudki.

Nie każdy się o przezwiska obraża.

Boćkiewicza nazywają Bocianem, Szczepańskiego – Ciamarą<sup>55</sup>, innego – Paluszkiem, Kumą, Bednarzem, a wcale się nie gniewają. A królowie nasi: Łokietek, Krzywousty, Laskonogi, Śmiały – czyż nie nosili przezwisk, które przeszły nawet do historii?

Jeśli ktoś jednak nie chce być Imbrykiem, Chińczykiem, Babcią, Waligórą, Ciocią, Słoniem lub Fajtłapą, ma zupełne prawo, tylko że na sądzie więcej z tego śmiechu niż pożytku, bo najczęściej obie strony są winne. Kaza nazwał Smolarka szczeniakiem, ale Smolarek nazwał Kazę kozą.

Olsiewicz powiedział:

– Czekaj, Babciu, dam ja ci po obiedzie.

Ale Gajewski nasypał Olsiewiczowi kaszy do kompotu.

Nie przypominam sobie, by która<sup>56</sup> ze spraw cywilnych nie zakończyła się zgodą.

---

<sup>55</sup> *ciamara* (daw.) – ciamajda, ślamazara. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *która* – tu dziś popr.: któraś. [przypis edytorski]

## Rozdział ósmy

Okręt „Burza”. Statek „Błyskawica” i dostojny pasażer. Budowa „Nadziei”.

Pozwalać czy nie pozwalać chłopcom drapać się na drzewa? – długo biedzili się dozorczy; jeśli pozwolić, spaść który może, jeśli zakazać, robić to będą potajemnie.

– Stań tu i kiwnij, jak pan będzie szedł.

Stojący na czatach kiwnął, chłopiec na łeb na szyję złązi z drzewa – i tym bardziej obsunąć się może. Wreszcie przyjemniej pozwalać niż zakazywać.

Wybawił dozorców z kłopotu Chabielski, założywszy pierwszy w Wilhelmówce okręt na drzewie. Chabielski tak opowiedział historię swego okrętu:

Pewnego razu, gdy mi się nudziło, spotkałem Iwanickiego i zaproponowałem mu zabawę w okręt. Zgodził się, zaczęliśmy szukać pochyłego drzewa. Znaleźliśmy je przy górze, koło polanki. Drzewo składa się z dwóch części: przedniej pochyłej – jest to przód okrętu, i tylnej wysokiej – na bocianie gniazdo. Obie części okrętu łączy pomost: jest to gruba gałąź, którą się zakłada na sęki obu drzew. Przód okrętu zajmują majtkowie i sternik. Sterem jest długa, zwieszająca się gałąź. Nieco wyżej siedzi maszynista koło grubego sęka. Sęk jest maszyną, a kluczem od maszyny patyk zakończony widelkami; kluczem puszcza się parę.

Okręt nosi nazwę: „Burza”...

Ulepszenia szły jedno po drugim. Między kajutą a pokładem są teraz schody z kijów; połączono pomostem maszynę ze sterem. Kotwicą jest gruby pniak z korzeniem znaleziony na odległej wycieczce w lesie.

Na okręcie jest dwóch nurków, którzy natychmiast zeskakują do morza, o ile coś spadnie.

„Burza” bywa niekiedy okrętem korsarskim i wówczas goni statki handlowe bądź przed pościgiem ucieka. Niekiedy jest statkiem rybackim; wówczas zarzucają rybacy do morza długie drągi, którymi wciągają schwyte wieloryby.

Odjazd odbywa się w następujący sposób:

Kapitan trzy razy pociąga za sznurek, przy każdym pociągnięciu za sznurek maszynista gwizdże, podnosi się kotwicę, maszyna zaczyna syczeć – rozwija się żagle. Ach, gdyby choć ręcznik na żagiel. Teraz majtek wchodzi na bocianie gniazdo, patrzy przez lunetę na morze i „Burza” wyrusza w drogę.

Kapitan posiada mapę i kompas.

Obok okrętu są szałas Zielińskiego i Lokajskiego, załoga okrętu po nużącej podróży znajduje tam gościnę.

Raz zbuntowali się majtkowie, jak to miało miejsce i na okręcie Kolumba – nie chcieli spełniać rozkazów, bombardowali okręt szyszkami. Jednego z nich schwytano, drugi – uciekł. Za nieposłuszeństwo został wysadzony na bezludnej wyspie i więcej się już nie bawił.

Na ich miejsce wzięto Tomka Galasa, który doskonale chodzi po masztach i pełni służbę na bocianim gnieździe.

Raz okręt spotkała na morzu burza. Kapitan rozkazał zwinąć żagle i kierując się strzałką kompasu, zawinięto do portu.

Raz okręt napadli korsarze. Załoga rozdzieliła się na dwie partie: jedną poprowadził do ataku kapitan, druga, z Iwanickim na czele, zaszła z tyłu, zadała wrogowi ciężką porażkę.

Liczne zmiany zachodziły ciągle w załodze okrętu. Pomocnikiem kapitana po Iwanickim był Olek Ligaszewski, później Kossowski. Po Galasie objął gniazdo bocianie Szczęsny, potem Lobański. Bo często nurek albo majtek „Burzy” zakładał sobie później własny okręt.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.